



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

ZJAZD PEDAGOGÓW W KRAKOWIE,

XV WALNE ZGROMADZENIE

GALICYJSKIEGO TOWARZ. PEDAGOGICZNEGO

w d. 18, 19 i 20 Lipca 1881 r.

(Dalszy ciąg).

Przedmiot poruszony przez p. Żulińskiego, łącznie z kwestyą instrukcyi i podręczników szkolnych, stanowił materiał bardzo interesujący do dyskusyi; musiała ona jednak dla braku czasu być bardzo ograniczoną. Zaznaczyć tu w każdym razie musimy racjonalny głos p. Macidłowskiego, dyrektora szkoły w Krakowie, który żądał szczegółowych instrukcyj, tak pod względem rozkładu materyi, jak i metodycznych wskazówek. Wogóle wyłoniła się myśl, którą w zupełności podzielamy, ażeby w szkole nie grzeszono zbytnią przewagą kierunku praktycznego; stronę stosowaną przedmiotu, różne pożytki, szkody, hodowle, uprawy i t. d. przenieść do nauki uzupełniającej, do której obowiązane są dzieci po skończeniu szkoły; tymczasem w samej szkole przewaga być powinna na po stronie kształcącej; a myśl, że w szkole początkowej idzie przede wszystkim o rozwinięcie przyrodzonych zdolności dziecka, że niejedno wyżej kształcić się będzie, nie powinna opuszczać nauczyciela. Zdania w tej materyi są jeszcze bardzo rozstrzelone; wielu z nauczycieli nie zdało sobie dobrze sprawy z tego, jak mają wyglądać i do czego prowadzić wszelkie wiadomości stosowane w szkole, co obecnie „nauką realów“ nazywają. Wyrażono tedy zdanie, że pożądany byłby

bardzo przewodnik, w którymby się koncentrowały wszystkie „reale“, a któryby odpowiadał metodycznym wymaganiom szkoły i psychicznym potrzebom ucznia.

W porządku dziennym następowały wnioski zarządów oddziałowych i wnioski członków. Poruszono tu różne materye; a gdy skutkiem spóźnionej pory sala była już prawie pusta, przeciągała się w małym kółku bardzo żwawa dyskusya. Ze zdziwieniem spostrzegliśmy, że pomimo kilkunastoletniego ruchu pedagogicznego w Galicyi nie ustaliły się jeszcze niektóre opinie. Pedagodzy w niektórych ważnych bardzo kwestyach różnią się o całe niebo; w tym naprzykład razie podzielone były zdania co do zadań szkoły ludowej. Jedni utrzymywali, że ma ona być przygotowaniem do szkoły średniej, że świadectwo egzaminacyjne, wydane przez nauczyciela szkoły ludowej, powinno obowiązywać szkołę średnią; inni, przeciwnie, dowodzili, że szkoła ludowa ma inne, właściwe sobie zadanie: ma odpowiadać potrzebom elementarnego wykształcenia, bez względu na wymagania szkół średnich. W dyskusyi tej grały rolę ukryte sprężyny; z kwestyi egzaminów zrobiono sprawę osobistej godności, stanowiska moralnego nauczycieli. Cóż to ma jedno do drugiego? Dzielnie mówił nauczyciel ludowy p. Starzecki, ale głos jego sięgał dalej; był on odpowiedzią na prądy, co się objawiły przeciw szkole ludowej, na wystąpienie hrabiego Reya, w imieniu „Koła Polskiego“ w sejmie w roku ubiegłym—na ów śmieszny zarzut „hyperprodukcji inteligencji“.

III.

Popołudniowe godziny przeznaczone były na zwiedzanie osobliwości Krakowa i jego okolic. Gościnny Kraków otworzył dla wszystkich swoje zbiory i pamiątki.

Zwiedzano tedy katedrę na Wawelu, skarbiec i groby królewskie, wystawę sztuk pięknych w Sukiennicach, gabinety: fizyczny, zoologiczny i mineralogiczny przy Uniwersytecie Jagiellońskim, Bibliotekę Jagiellońską, Muzeum Techniczno-Przemysłowe, a także Akademię Umiejętności i Muzeum książąt Czartoryskich.

Zwiedzano też chwilową wystawę robót ręcznych i przyborów naukowych, ale zbyt mało nią się zainteresowano, chociaż ta wystawa właśnie podniosła znaczenie zjazdu, a zwłaszcza nauczającej jego strony.

Pomówimy o niej poniżej. Obecnie zaś, załatwiając się z całą zabawową i wycieczkową stroną zjazdu, pomijając ognie sztuczne i widowiska teatralne, jak *Obronę Czestochowy* i *Kościuszkę*, dawane na „cześć pedagogów“, nie możemy nie zaznaczyć tutaj pięknej bardzo chwili, w której dwóchtysięczna ludność znalazła się w podziemiach Wieliczki (do pedagogów bowiem przylączyło się wiele osób postronnych). Było to drugiego dnia zjazdu. Rozumie się samo przez się, że w tak wielkim tłumie, a jeszcze przy wielkim upale, były pewne niedogodności i nieporozumienia, choćby przy wpuszczaniu przybyszów partjami do salin. Zato, gdy się już wszyscy w podziemiach znaleźli, w innym ujrzeni się świecie. Sztuczne ognie, rozjaśniające ciemne komory, z których przez wieki sól całą Polskę żywiła; pobożny śpiew górników, windujących się z pochodniami w górę, zawieszonych na wątlej linie ponad przepaścią, okrzyki i śpiewy z dwutysięcznych piersi, nieznanym sobie, a jednak poznającym się po jednej mowie i po jednej melodii: są to wszystko wrażenia, które się opowiedzieć nie dadzą i doświadczyć ich trzeba.

Drugie posiedzenie rozpoczęło się we Wtorek d. 19 Lipca, a rozpoczęło się w sposób niezwykle i dotąd niebywały: prezes odczytał w zgromadzeniu telegram, od bawiącego w Rzymie biskupa Dunajewskiego, wysłany w imieniu papieża: „Sa-

lutans societatem paedagogicam Cracoviae congregatam, mitto benedictionem apostolicam Beatissimi Patris. Albinus" (Pozdrawiając towarzysztwo pedagogiczne, obradujące w Krakowie, zasyłał błogosławieństwo apostolskie Ojca Świętego). Zgromadzenie przyjęło telegram hucznie oklaskami i powstaniem z miejsc; upoważniło także zarząd do wysłania imieniem jego dziękczynnego telegramu. Nastąpił długi odczyt profesora Jerzego Harwota: *Pracownia szkolna ze stanowiska pedagogiki i ekonomii społecznej*. Młody prelegent rozwinął swój temat wszechstronnie, z całą właściwością metody niemieckiej; dowodził potrzeby praktycznych zajęć w szkole; to jest rzemiósł, ze stanowiska ekonomicznego, społecznego, psychologicznego, pedagogicznego—słowem, opracował rzecz głęboko: ale, jak wszyscy młodzi, popadł we frazeologię i w przesadę, znaną wszystkim mówcom, którą już tak dobrze Cyceron scharakteryzował: „*amplificatio maxima laus oratoris*“.

Nie będziemy w tej chwili wdawać się w szczegółową krytykę szanownego prelegenta, zdaje nam się, że jest nieco doktrynerem, schodząc się z niektórymi ekonomistami, którzy ze swego punktu żalują funduszków na oświatę ludu, karząc go raczej przykuwać do roli i do warstwu, jakby dla wskrzeszenia średniowiecznego piętna włościan: „*glebae adscriptus*“. Juścić p. Harwot dowodził bardzo przekonująco, że lud pracować i oszczędzać powinien, aby się z nędzy trapiącej go wydobyć, aby nie obsunął się w przepaść, w którą go terazniejsze warunki spychają; ależ lud—to nie dzieci, ależ szkoła—to nie życie. Jeżeli czas szkolny wypełnimy rzemiosłem, kiedyż oświecimy dziecko, kiedy rozбудzimy i rozwiniemy jego zdolności umysłowe, które może w przyszłości poszłyby dalej, wychyliłyby się poza próg chaty, poza wioskę rodzinną, aby na szerszej widowni dla kraju pracować? Minęły już czasy kastowości indyjskiej i egipskiej; rzemieślnicy potrzebni, rolnicy potrzebni; ale szkoła elementarna nam ich dać nie może: szkoła ma dać ludzi. Szanowny prelegent chce pomieścić naukę umysłową i rzemiosło w szkole ludowej obok siebie; tego nie dokaże, szkoła elementarna a szkoła rzemieślnicza: to są dwie rzeczy różne i jedna przez drugą zastąpić się nie da. Zanosilo się na ożywioną i zajmującą dyskusję, ale „krótkość czasu była na zawadzie“. Zgromadzenie przyjęło wniosek p. Żulińskiego: aby na przyszłym zjeździe Towarzystwa Pedagogicznego, który ma się odbyć w Kołomyi, urządzić wystawę wyrobów uczniów, któraby wykazała stronę praktyczną szkoły ludowej; wtedy dopiero będzie można, nie teoretycznie, ale na podstawie faktów, rozważyć tę sprawę. Rzemiosła istnieją przy niektórych szkołach galicyjskich; „ankieta“, i w tej materii ma wnioski swoje poczynić. Słowem, odłożono rzecz na później. Pominając inne rozprawy tego dnia, odnoszące się do stosunków wewnętrznych nauczycieli galicyjskich, przechodzimy do trzeciego i ostatniego posiedzenia.

IV.

W programmie i porządku dziennym zjazdu widniała myśl, aby na każdym posiedzeniu miał miejsce wykład zdolny wzbudzić ogólniejsze zajęcia. Tak było na dwóch poprzednich posiedzeniach, na których przemawiali pp. Żuliński i Harwot; tak miało być i na ostatnim, na które przeznaczono wykład Dra med. prof. Jaworskiego: *Zanieczyszczenie powietrza szkolnego, jego skutki i środki zaradcze przeciw niemu*; nie przyszedł on jednak do skutku, dla tej prostej przyczyny, że pan Jaworski wyjechał do wód dla poratowania zdrowia. Mimo ten zawód posiedzenie było ożywionem i zaciekawiało obojętnych nawet dla pedagogiki świadków. Rozmaite kwestye żywo przychodziły na stół, żywo schodziły z niego; rozmaite namiętności, niezawsze zrozumiałe dla nas, występowały, niepokojąc porządek obrad. Zastępca prezesa był w trudnem położeniu, tem trudniejszem, że zawsze „krótkość czasu stała na zawadzie;“ posłańcy, czyli, jak w Krakowie mówią, „po-

slugacze“ oczekiwali za drzwiami na krzesła i inne efekta dekoracyjne, potrzebne do sali ucztowej. Były nieporozumienia i urazy, które usiłował kilkakrotnie załagodzić hr. Izidor Dzieduszycki; zamiary jego rozbiły się jednak o niewzruszoną powagę prezydyjalnego krzesła. Uroczmaicil posiedzenie także i obiór prezesa i członków niektórych; prezesem obrano, podobno jednogłośnie, nadal p. Sawczyńskiego. Roznamiętniało to niektórych, a nieufność, jaką wyraził p. German, prof. gimnazyalny krakowski co do sprawdzenia protokołu z ostatniego posiedzenia, zakrawała na szykanę Zarządu Towarzystwa i prezesa. Cóż dziwnego? Działo się to na bruku krakowskim, a Zarząd Towarzystwa mieści się przecież we Lwowie!

Ogólniejsze zajęcia wzbudziło sprawozdanie pana Bolesława Baranowskiego, inspektora szkół ludowych, członka „ankiety“, to jest delegacji wyznaczonej przez Wydział Krajowy do rozpatrzenia stanu szkół ludowych.

Sprawa Szkoły Ludowej nabierała coraz większego znaczenia, zwłaszcza od zwycięstwa Prusaków nad Francuzami, które przypisano bakałarzom pruskim; łatwo było dojść do jej przecenienia, co znowu wywołało głosy, zwłaszcza ze strony ekonomistów, studzące zbytni zapal dla szkolnictwa. Oile prąd ten przeciwny wpłynął na galicyjskich mężów stanu: rzecz mniejszej wagi; wystarczy nam fakt, że na sejmie w roku ubiegłym kommissya budżetowa zmniejszyła rubrykę szkolną więcej niż o połowę, wykreslając 3/4 z pozycyi na przybory naukowe a usuwając zupełnie pozycyją na biblioteki i na budynki szkolne. Ciekawe były rozprawy nad tym przedmiotem; odznaczili się w nich hr. Rey, przeciw szkolem, i Hausner, za szkołami. Kwestyą szkół ludowych zajmowali się powołani i niepowołani; niektóre pisma galicyjskie były przepełnione odnośnemi artykułami. Rozpatruje tę kwestyą owa „ankieta“; rozprawiała nad nią we Lwowie od 24 sierpnia roku bieżącego konferencya krajowa nauczycieli; roztrząsa ją z porządku rzeczy Rada Szkolna; a nawet z wnioskami swojemi wystąpić ma podobno Akademia Umiejętności.

(Dokończenie nastąpi).

OSTATNI LIST

skreślił

A. Ch....

(Dalszy ciąg).

Zapłonilo się dziewczę.—Ale....—nieśmiało wyszeptala.

—Więc pani mnie za brata uważać nie chcesz? Jeszcze bardziej poczerwieniała Eugenia, pokrywając pomieszanie uśmiechem.

—A dobrym pan będziesz bratem?—wymówiła.

—Pani wątpi o tem?

—No! nie gniewaj się pan na—siostrę—rzekła.

Pochwyciłem małą rączkę i przycisnąłem do ust, pomimo obecności siostry—Maryni.—„Mam więc teraz dwie siostrzyczki!“—i pocałowałem w rękę także i siostrę, która roześmiała się, pojmując dobrze, *in gratiam* czego tak uhonorowaną została.

—A teraz—rzekłem do Eugenii—rozkazuj bratu, siostrzyczko!

—Zagraj więc, panie—bracie!—rzekło dziewczę z wielkiem ożywieniem i wdziękiem.

Ach! Zenonie, przy niej czułem się natchnionym; grałem tak, jak nigdy, i tem silniej wierzyłem w swoją gwiazdę, którą wówczas szczęśliwą jeszcze nazywałem. Dziećmi byliśmy oboje, ale tak szczęśliwymi dziećmi!

Pomimo pogardy dla wielkich nawet mistrzów, nauczyłem się wcale niezłe grać na pamięć kilka celniejszych utworów i postanowiłem wystąpić z koncertem; prócz rozgłosu miałem też na wzglę-

dzie stan materyalny rodziny naszej, niezbyt świetny. Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy na afiszach ujrzałem po raz pierwszy nazwisko swoje, wydrukowane olbrzymiemi literami. Zdawało mi się, że umrę z radości, że nie dożyję dnia tak dla mnie uroczystego. U spodu afisza znajdowało się oznajmienie, że młody skrzypek zagra jeden ze swych własnych utworów. Gdy nalegano na mnie, abym przecież pokazał ten swój utwór—nie zgodziłem się.

—W głowie go mam, w sercu go mam, w duszy całej, nie na papierze; zagram z pamięci.

Przyszedł wreszcie dzień ów, nastala godzina... Sala była tylko przez pół zapełniona, nie tak, jak sobie wprzódy wyobrażałem; lecz jakość publiczności wynagradzała za ilość: spostrzegłem wielu muzyków, w ich gronie paru swoich nauczycieli, kilku literatów, a recenzentów muzycznych—to już tłum cały. Ukazałem się na estradzie; nastala cisza uroczysta, głucha. Serce teniło gwałtownie, krew mi biła do głowy, drżałem ze wzruszenia... Przedemną była ciemna massa głów ludzkich—morze milczące. W pomieszanu nie dojrzałem matki, siostry i Eugenii; w tej chwili niczego dokładnie rozróżnić nie mogłem. Zapominałem wreszcie nad wzruszeniem i zacząłem grać: był to utwór króla skrzypków—Paganiniego. Zawsze szczyciłem się pamięcią; grałem więc na pamięć. Lecz wskutek wzruszenia przemknęła mi myśl przez głowę, że mogę omylić się, zapomnieć jakiego ustępu. Myśl taka, w tej stanowczej chwili tak mię zająła, że poczułem, iż odwaga mnie opuszcza, siły słabną; szumiało mi w uszach, ręka drgała, skrzypce wyslizgiwały się i czułem już, że się wymkną i upadną na ziemię. Dziwne myśli przysłyły mi do głowy; rozważałem: czy lepiej jest trzymać skrzypce tak, jak mi wskazywał Niemiec-nauczyciel, czy też tak, jak je trzymałem w tej chwili? Nic dalej już nie pamiętałem—zacząłem sam dodawać... Lecz szczęściem, miało się już ku końcowi—skończyłem. Cisza głucha, wreszcie ciche, trwożliwe „bravo“. Dały się słyszeć i oklaski, ale upokarzające, jak jałmużna rzucona biedakowi, jak litość nad pracą—bez owoców. Uczucie nienawiści zawrzało we mnie.

Oile mogłem, pokonałem wrażenie pogardy dla tego tłumu i grałem dalej—kompozycyą Vieuxtemps'a. Byłem gniewnie wzburzony: grałem więc niespokojnie; czasami zbyt silnie dotykałem skrzypiec, smyczek zbyt prędko ślizgał się po strunach, nerwowo drgająca ręka niezawsze czyste akordy wydobywała. Gdym skończył, oklasków było jeszcze mniej niż pierwej. Straciłem głowę; zdało mi się, że dzieła mistrzów nie przypadają publiczności do smaku, że powinienem chyba swój własny utwór zagrać.

Zabrałem się więc do własnego dzieła. Początek był oryginalny. Tryle zrazu ciche, potem coraz głośniejsze; nareszcie miało zagrznieć „fortissimo“, aby stopniowo skończyć się ledwie dosłyszczanym szmerem, który znowu na wyżyny się wzbijał. Było to, jakby naśladowanie kaskady, spadającej ze stromej góry; miałem wyrazić tutaj i szmer wody płynącej przy brzegach i plusk tej, która rzucała w śródki, i pienienie się i uderzanie o skały; lecz pod wpływem wzruszenia i poprzednich niepowodzeń, zacząłem brać złe akordy, drżąca ręka kłóciła tony, krzyżowała melodye, psuła harmonią; utworzył się chaos.

Zamało się wprawiałem, zamało studiowałem mistrzów... W moim utworze jednej myśli górującej nie było; wszystko jakby w kłębek splecione, ani planu w ogóle, ani związku w szczegółach, melodya główna to się wznosiła, to upadała, głucho ciągle przez inne... W jednej chwili w umyśle moim zarysowały się wszystkie wady utworu mego, szczególnież zaś wykonanego w taki sposób—i to jeszcze bardziej wzburzyło mnie, odejmując przytomność. Ręka, zmęczona a niewprawna, wydała ton fałszywy. Krew rzuciła mi się do głowy... Targnąłem smyczek: drugi dźwięk fałszywy, przeklęty. Niektórzy słuchacze zaczęli wychodzić... Zrobiło mi się ciemno przed oczyma; pot kroplisty wystąpił na czoło; wszystko naokoło zamigotało niewyraźnie. Widziałem, tak, ja widziałem, jak się wszyscy uśmiechają ironicznie. Ba! nietylko ludzie, lecz i wszystko, co było w sali, i same mury śmiały się i szydziły ze mnie. Postanowiłem skró-

I to odmiennie, nędznie—bojaźliwie;
Ginie, od słońca jak cień opuszczony.

I od takiego—Boże nieskończony,
W sobie chwalebnie i w sobie szczęśliwie,
Sam przez się żyjąc—żądaś jakmiarz chciwie
Być miłowany i chesz być chwalony?

Dziwne są twego miłosierdzia sprawy!
Tym się Cherubim (przepaść zrozumości)
Dziwi zdumiały; i żąd pała prawy

Promień, Serafim, w szczęśliwej miłości.
O, święty Panie, daj, niech i my mamy
To, co mieć każesz, i Tobie oddamy.

SONET III.

Do Najświętszej Panny.

Panno beżrówna, stanu człowieczego
Wtóra ozdoba—nie psowała w której
Pokora serca ni godność pokory;
Przedziwna matko stwórciela swego!

Ty głowę starszy smoka okrutnego—
Którego jadem świat był wszytek chory—
Wziętasz jest w niebo—nad wysokie chóry;
Chwalebna—szczęścia używasz szczerego.

Tys jest dusz naszych, jak księżyc prawdziwy,
W którym wiecznego baczmy promienie
Miłosierdzia, gdy na nas grzech straszliwy

Przywodzi smutnej nocy ciężkie cienie.
Ale ty zarzą już nam nastań raną ¹⁾,
Daj słońca twego światłość pożądaną.

SONET IV.

*O wojnie naszej, którą wiemy z szatanem,
swiatem i ciałem.*

Pokój, szczęśliwość. Ale bojowanie,
Byt nasz podniebny—on srogi ciemności
Hetman, i świata łakome marności,
O nasze pilno czynią zepsowanie.

Nie dosyć na tem—o nasz moźny Panie!
Ten nasz dom—ciało—dla zbiegłych lubości,
Niebacznie zajrzając duchowi zwierzchności,
Upaść na wieki—żądać nie przestanie.

Cóż będę czynił w tak straszliwym boju?
Wątpli, niebacznym, rozdwojony w sobie?
Królu powszechny! prawdziwy pokoju

Zbawienia mego, jest nadzieja w Tobie,
Ty mnie przy sobie postaw, a przezpiecnie
Będę wojował—i wygram statecznie.

SONET V.

O nietrwalej miłości rzeczy świata tego.

I nie miłować ciężko i miłować
Nędzna pociecha—gdyż żądzą zwiedzione
Myśli—*ukrują nazbyt rzeczy one,*
Które i mienić i muszą się psować.

Komuz tak będzie dostatkiem smakować
Złoto, sceptur, sława, rozkosz i stworzone
Piękne oblicze,—by tem nasyczone
I mógł mieć serce, i trwóg się warować?

Miłość jest własny bieg bycia naszego,
Ale z żywiołów utworzone ciało
To chwając, co zna początku równego,

Zawodzi duszę, której wszystko mało,
Gdy ciebie, wiecznej i prawej piękności,
Samej nie widzi—celu swej miłości.

SONET VI.

Do pana Mikołaja Tomickiego.

Tomicki! jeśli nie ganią owego,
Który—ku chwale świeci lampą onej
W sobie chwalebnej, świętej, niezmierzonej,
Światłości—światła zkađ jasność każdego—

Nie będę nazwan lekkim od żadnego,
Bym sławił piękność w tobie doświadczonej,
Każdemu cnoty. Jeno, żem uczonej
Mało pił wody—nie śmiej się jąć tego.

Chęć przyjmij wdzięcznie; na tej Bóg przestaje;
Lecz jeśli muzy z ubóstwem się zgodzą,
Dzielność, stateczność, rozum, obyczaje

Twoje, co zacność—choć wielką—przechodzą
Wiersza megoj ustawną zabawą
Będą. Co mówię?... będą sławą prawą.

Myśli w sonetach Szarzyńskiego są jakgdyby w kajdanach; forma nie pozwala mu roztoczyć ich jasno, poetycznie i swobodnie, tak, jak to czynił w innych pieśniach. Ale to już nie wina poety. Nie każdy potrafi sobie tak radzić jak Mickiewicz, co w szeregu sonetów wyśpiewał jedną ogólną pieśń o Krymie. Sami nawet Włosi, twórcy sonetu, dla rozszerzenia ciasnej formy, stworzyli sonet z dodatkiem (*colla coda*) i sonet z odpowiedzią (*sonetti a risposta*). Takim sposobem później sonet nie krepował już tak silnie poety, jak krepował tego, który młodym, powstałym tylko co z kolebki językiem miał władać.

Szarzyński nie stoi i tu, co prawda, poza wpływem obcych. Szczególniej Horacy i Petrarca są jego przewodnikami. I tak w sonecie I pierwszy dwuwiersz jest wzięty z Horacyusza ody XIV, księgi II-ej, którą podobnie się zaczyna:

Eheu! fugaces, Postume, Postume,
Labuntur anni...

Również i wpływ Petrarki, jakeśmy to już powiedzieli na wstępie, jest znacznym. W sonecie Szarzyńskiego „do Najświętszej Maryi Panny“ znać wpływ *Canzonny* XXIX i sonetów 312 i 313. ¹⁾

Jakkolwiek jednak będziemy rozpatrywali sonety Sępa Szarzyńskiego, są one utworami godnymi zaznaczenia na kartach historii literatury powszechnej i zawsze postawią poetę w rzędzie zdolniejszych wierszopisów XVI wieku. Nie szkodzi mu wcale owo naśladownictwo, bo go wiek ów wcale nie unikał: owszem nie było nawet grzechem przywłaszczać sobie myśl cudzą i w polskie ubierać ją sukienki. Tożsamo możnaby zastosować nie tylko do jednego Sępa, ale nawet do samego Kochanowskiego i innych grupujących się w tym czasie przy księciu naszej poezji. Oddaliliśmy się jednak od właściwego tematu. Mówiąc o sonetach, na zakończenie powinniśmy powiedzieć choć słówko: czy sonet urabiał się u nas w Polsce tak, jak we Włoszech—czy też przeniósł się do nas już zupełnie gotowy?

Otoż muszę zaznaczyć, że poeta, piszący pierwszy sonet wyżej przytoczony, tworzył go na pewnym fundamencie.

Wiemy, że sonet włoski przekształcił się z epigrammatu. Rzymianie uprawiali poezją epigrammatyczną grecką, w której najdelikatniejsze uczucie nieraz łączyło się z najczuchwałszymi dowcipem.

Za przykładem Martialis'a poszli poeci nowołacińscy, jak Anglik Owen; w narodach romańskich epigrammat długo jeszcze był bronią szyderstwa, aż wreszcie przekształcił się w madrygał i sonet.

U nas ten epigrammat bardzo szerokie znalazł pole i dzielnych mistrzów.

(Dokończenie nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Sztuki nieznane, przez Emila Soldi. — Treść dzieła. — Myśl jego. — Sztuka Khmerów. — Meksyk. — Egipt. — Ogólny pogląd na dzieło. — Literatura Dantejska. — Niemcy i Włosi. — Dra Hettin-gera *Bozka komedya*. — Czem się odznacza ta praca? — Powieść Pastuch przez Glouvet'a. — Kilka słów o niej. — *Chacun la sienne*. — Zbiór nowelli norweskich, szwedzkich i duńskich.

„Sztuki nieznane“ *Les arts méconnus!*—nęcający ten tytuł skłonił nas do nabycia drogiego, ilustrowanego dzieła p. Emila Soldi, na którym doznaliśmy bolesnego zawodu. „Emile Soldi — *Les arts méconnus — Les Camées et les pierres gravées — L'art au Moyen Age — L'art persan — L'art Khmer — Les arts du Pérou et du Mexique — L'art Egyptien — Les arts industriels — Le Musée du Trocadero*. Paris. Leroux, 531 pp. 400 gravures.

Wydanie zbyt kostne, przepyszne—czteryście ilustracyj, papier jak pergamin, druk cudny, odbicia wysmienite—ale książka! Zbieranina gawęd, paplaniny, obrony tego, czego nikt nie napastuje, a przedewszystkiem gloryfikacja autora, p. Emila Soldi, znakomitego, jak się okazuje kunsztmistrza, rzeźbiarza na kamieniach, rysownika, ale pisarza niewprawnego i niejasno pojmującego zadanie swoje. Treść nie odwołuje tytułowi książki, w której rozwickłe dowodzenia rzeczy niewątpliwych męczą a nie objaśniają. Czteryście ilustracyj, wyproszonych w redakcyach różnych pism, pożyczonych i przypiętych tu, nie są w związku z tekstem i stanowią chaotyczny dodatek, powiększający objętość dzieła, niewiedzieć dlaczego i na co. Słowem, jest to rzecz zszuwana, słaba, i z pięciuset stron, nie wiem: czy pięćdziesiąt wybrałby się dało coś przynoszących dla historii sztuki?

W tytule samym tkwi idea, którąby autor z większą logiką i lepszą metodą powinien był rozwinąć i wyjaśnić.

Istotnie, w historii sztuki, w samym określeniu tego, co do obszaru jej należy, jest wiele próżni do wypełnienia i pojęć do sprostowania. Odsunięto zbytecznie genezę piękna i zaniedbano epoki pierwotne, zwracając uwagę szczególnie na apogea, na chwile najwyższego rozwoju. Sztuka w kolebce, u narodów, u których nie miała czasu dojść do opanowania środków wykonania i wcielenia pełnego myśli, niemal pominięta została w dziejach. Sztuka w połączeniu z rękodzielstwem, wyroby kunsztu w drobnych rozmiarach, których przeznaczenie było dwoiste, utylitarne i estetyczne razem, nie liczyły się, jak należało, do dziejów i mało na nie zwracano uwagi. Przywrócenie tych odłamanych niesłusznie części składowych wielkiej całości jest koniecznym i uznanym. W archaicznych zabytkach sztuki greckiej jest już nasienie tej, która pod dłonią Praxytelesa zakwitnąć miała. Lecz poza archaizmem tym, wciągnięciem do historii, leży barbarzyński początek jego, protoplasma sztuki, jeśli się go tak nazwać godzi.

P. Emil Soldi miał wistocie na myśli przemówić za temi barbarzyńskimi pierwiastkami, za sztuką utopioną w rzemiosło, w małych wyrobach lub całkiem nieznana, jak sztuka u Khmerów; lecz nie podołał temu, co zamierzył.

W pierwszych rozdziałach *pro domo sua* o kamieniach rzeźbionych, nowego nic niema, oprócz może więcej uwydatnionej idei: ile na wykonanie wpływa materiał i użyte do obrobienia jego narzędzie—co nigdy nie podpadało wątpliwości. Egipska rzeźba z drzewa i z bazaltu lub granitu wskazuje to najlepiej. Sztuka w Średnich Wiekach wcale już rehabilitacji nie potrzebowała: jesteśmy dziś przynajmniej nie tak już wyłącznymi jednego stylu i jednej formy piękna miłośnikami, abysmy wszelkich kierunków na drodze poszukiwania go nie usprawiedliwiali; rozumie my taksamo gotyk w swej epoce i na swem miejscu, jak budownictwo klasyczne greckie.

Sztuka perska, której autor poświęcił rozdział

1) Zamiast „raną”. Dwa ostatnie wiersze w wydaniu Turrowskiego są widocznie zepsute. Jeżeli wina nie spada na wydawcę, to błąd dopuścić się musiał albo przepisywacz albo drukarz przy pierwszym wydaniu, dokonaniem staraniem brata, Jakóba, w roku 1601 (bez miejsca druku). Wprowadzona tu lekka poprawka; nadaje lepszy tok całości. (Przyp. Red.)

(1) Ob. *Piśmiennictwo Polskie* Maciejowskiego, T. I, str. 516 i 517. (Przyp. Red.)

wieku; a w wierszu trudniejszym to było niż w prozie, wyższą zatem ma wartość. Gdyby jeszcze więcej nieco ruchu, niczego więcej pragnąć-byśmy nie mogli od takiego obrazka. Dziwnym wydaje nam się zarzut, iż takich niewiast tchórzliwych, jak tutaj, nie było u nas: dobrze, ale był popłoch, byli zniecałkani napadający Tatarzy, i niejedna kobieta, któraby może w ogniu bojowym wzniosła się na wysokość Chrzanowskiej, w popłochu ogólnym musiała być lekliwą, słabą, drżącą o siebie i dzieci swoje istotą. Utwór Szymanowskiego, wystawiony przed dwoma tygodniami na scenie Teatru Letniego, dał p. Rapackiemu pole do wystąpienia w roli kontuszowej i wyborowego przedstawienia postaci staro-szlacheckiej, w czem, jak wiadomo, artysta ten celuje.

(Dokończenie nastąpi).

Korrespondencja zagraniczna.

Wiedeń, w Sierpniu 1881 r

Czem i jak Wiedeń się bawi w lecie. — Prater. — Okolice. — Styrya. Goście serbscy, czarnogórscy, hawajscy. — Wieści z Czarnogórza. Zajęcia poważne. — Sprawozdania z działalności stowarzyszeń kobiecych. — Ognisko domowe. — Zakłady muzealne. — Kolonie wakacyjne. — Wędrówki studentów po kraju.

(Dokończenie).

Zapewne nikt nie wątpi, że poza światem rozrywek i zabaw jest tu i świat poważny, który właśnie w tym czasie z wielu swoich zajęć zdawał sprawę. Na pierwszym planie postawić trzeba pracę około polepszenia losu i poprawy wychowania kobiet. Widać czują, że jest to pole bardzo tutaj zaniedbane, że zarówno służące, jak i panny i panie bogate, znajdują się tu w stanie pierwotnym pod względem wykształcenia umysłu, wyrobienia charakteru i poglądu na życie. Mają one zewnętrzny tylko połór, lecz gruntu żadnego, ani moralnego, ani umysłowego. Są to stworzenia wesołe, lekkie, płytkie, lalki stworzone do zabawy i do spychania tylko nieuniknionych zajęć domowych, oile już od nich uwolnić się nie można za pieniądze, najemną usługą.

Bardzo liczne są stowarzyszenia kobiet i dla kobiet. Korzystnie działa „Wiedeńskie stowarzyszenie zarobkowe kobiet“; utrzymuje ono następujące szkoły: haftów maszynowych, szycia białego, rysunków, pracownią dla rysowania wzorów, pracownią dla malowania zastosowanego do przemysłu. Ta ostatnia ukończyła właśnie pierwszy rok istnienia. Było w niej uczennic 16. Zgodnie z programmatem wykonywały uczennice artystyczne, ale praktyczne zadania, jakoto: na porcelanie i fajansach, talerze dla emalii, żardniery, dzbany, studia na papierze, płótnie, jedwabiu, wachlarze, kasetki, ściennie dekoracje. Już w pierwszym roku miała szkoła więcej zamówień niż im mogła podać.

Nadzwyczaj świetnie rozwinęła się miejska szkoła haftów pod kierunkiem pani Emilli Bach. Wystawa robót tej szkoły przedstawia same arcydzieła gustu i pracowitości; prawdziwa tu nowość haftu szydełkowego, chińskiego, haftowania złotem i t. p. Niema robót bez *stylu*, bądź klasycznego, bądź staroniemieckiego według różnych narodowych wzorów. Szkoły podobne, założone w górach Kruszcowych i Olbrzymich, gdzie lu-

dnosć potem miała skłonności i tradycją, czerpią wzory swoje z wiedeńskiej szkoły. Już po jednym roku pracy mają uczennice chleb w rękach, albo też przyjemną i pożyteczną biegłość dla zajęcia się domowego.

Damski też komitet zorganizował w dolinie Ausse (miejsce kąpielowe), szkołę dla przemysłu domowego haftów. Szkoła ta rozwija wrodzoną zdolność ludu do haftowania, i dzisiaj już serwety, obrazy, ręczniki, chustki tamtejszych dziewczek i kobiet, cieszą się wziętością, która zapewni dobrobyt, a przez pracę i moralność w tej okolicy podniesie. Żony i córki robotników fabrycznych są też tam pilnymi uczennicami.

„Stowarzyszenie dziesięciogroszowe“ dla kształcenia córek urzędników posiada już tutaj ognisko, pensjonat dla dziewcząt z całego państwa, które za bardzo małą opłatą znajdują pomieszczenie, utrzymanie i całą opiekę i wyrabia im też stowarzyszenie bezpłatne miejsca po różnych zakładach. Dotąd jednak dopiero są 24 pensyonarki. Z ogółu uczennic około 60 korzysta ze stypendyów.

Powstało też nowe towarzystwo „Ognisko domowe“ (Wiener Frauenheim). Celem jego jest wytworzenie dla kobiet samotnych, niezamożnych, lub owdowiałych, ubogich, lub zubożałych, skazanych na ciężki los, na życie o bardzo drobnych środkach — wspólnego domu gdzieby miały wygodę, opiekę, towarzystwo i możliwość pracy domowej i wolne były od trosk codziennych. Będą miejsca płatne w zupełności i w części, jakoteż całkiem bezpłatne. Ma to być schronienie, któreby choć w części rodzinę zastąpiło. Nie będzie klauzury, ani przymusu, lecz ścisła surowość przy ocenieniu: czy kandydatka pod względem moralnym będzie odpowiednią. Wypowiedzenie wzajemne w terminie miesięcznym. Za wzór wzięto podobne zakłady istniejące już w Petersburgu, Berlinie, Monachium, Salzburgu, wreszcie w Wirtembergii. Działalność towarzystwa rozwinię się niewątpliwie, gdyż ludność tu tejsza skorą jest do składek, a wiele też tu u bogatych działa próżność i chęć dorównania innym.

Zakłady artystyczno-przemysłowe przy tutejszym Muzeum Austriackim działają tak skutecznie, że zajmowałyby wszędzie wzorowe miejsce. W ubiegłym roku było w zimie uczniów 350, w lecie 279, w tej liczbie 63 uczennice, a rozdziela się to następnie: w szkole przygotowawczej 106, budownictwa 38, rzeźbiarstwa, snycerstwa, cyzelacji, modelowania, medalierstwa, „Radirungen“ (t. j. utworów rytownictwa przy pomocy działalności chemicznej na metale wykonywanych) 43, rysunków, malarstwa i dekoracyjności ceramicznej 92. Czechów było 47, Morawian 24, Polaków 9, Szlazaków 3, Rossyan 3. Stowarzyszenie ku popieraniu tych zakładów i rząd dają 45 stypendyów; czterech uczniów było na koszcie rządu niemieckiego. Zakłady te dostarczają od kilkunastu lat specjalnych sił dla każdego zawodu; na rozwój i uszlachetnienie przemysłu działają namacalnie — aż zazdrość bierze... Może się przecież doczekamy czegoś podobnego w Warszawie, Krakowie, Lwowie, gdzie już są muzea i początki szkół specjalnych.

Wypada tu wspomnieć, że już drugi rok urządzają w Wiedniu kolonie wakacyjne dla dzieci szkolnych, żeby im dać możliwość zdrowego powietrza, ruchu, odzyskania zdrowia. Sprawa to ogromnej doniosłości, już nieraz w *Bluszczu* omawiana. Rośliny wędniące, z których byłyby drzewa słabe, a wiele z nich nie urosłoby wcale, dostają zdrową glebę, ażeby lata wzrostu i kwitnienia dały im dość żywotnych soków; żeby potem i w twardych warunkach życia były z nich silne i owoc rodzące

drzewa. Jestto sprawa i ludzkości i ekonomii społecznej. W zeszłym roku ulokowano po wsiach, pod dobrą opieką, 42 chłopców i dziewcząt. Taka to przecież łatwa rzecz dla zamożnych domów: przyjąć na dwa miesiące do siebie jedno dziecko! Tym jedynie sposobem, zaprawdę, można od razu działalność szeroką rozwinąć, zanim gdziekolwiek środki pozwolą na utrzymanie własnych zakładów po wsiach i własnej opieki. Zajmuje się tą sprawą „Ogólne towarzystwo oszczędności i pomocy“, które i wigilijne gwiazdki po przedmieściach rozdziela. Umieszczono tego roku 60 dzieci; wyjazd ich był świętem dla malców, radością dla rodziców. Jest zamiar urządzenia wakacyjnych zakładów płatnych, dla dzieci zamożniejszych rodziców, ażeby do koleżeństwa nawykły — a zresztą bardzo często zyskają na tem więcej, niż na opuszczeniu w domu, chociaż wśród dostatków. Koszt Towarzystwa za jedno dziecko umieszczone wynosi 30 fl. bardzo skromnie, ale-bo też obowiązki opiekunek przyjmują żony nauczycieli i nauczycielki bezpłatnie. Oczywiście, pomysłano wszędzie i o lekarskim nadzorze.

Oto także sprawa do naśladowania u nas. Trzy urządzono kolonie: w Fristing, Schoenau i Westmannstaeden, w okolicach Wiednia, wśród gór. Lokale otrzymano bezpłatnie, bo ileż-to dworów i pałaców stoi pustkami, gdy właściciele podróżują! pustką stoją też i szkoły. Urządzenia są bardzo proste: na pożyczonych skrzyniach posłania i poduszki; ale dzieci śpią wygodnie, wyglądają rozkosznie, bawią się wesoło, bo mają góry, wodę, powietrze, mleko niefałszowane. Jedną z opiekunek jest żona słynnego muzyka Jana Straussa, który dzieciom przygrywa swoje walce. Cudowna rzecz! Wszędzie panuje swoboda, ale i karność, porządek, czystość; jest to szkoła, nie tylko zdrowia, ale i obyczajów dla dzieci, które przez cały rok w wilgoci, brudzie, i często wśród złych przykładów, marnieją. Robiono już pomiary, że piersi dzieciom po 4 tygodniach znacznie się już rozszerzyły, bo dziatwa gimnastykuje się i używa zimnych kąpiel, uczy się *oddychać*. Każdemu dziecku bez wyjątku wagi przybyło. Jestto błogosławieństwo, a takie dla dobroczyńców uroczę, że kolonie wakacyjne ogólne staną się niewątpliwie na całym świecie rzeczywistością.

Poruszono też tu myśl zbiorowych wycieczek pieszych dorosłej młodzieży po kraju, dla zdrowia, dla poznania swojej ziemi, jej natury, pamiątek, ludu. Myśl bardzo praktyczna, bo później to tylko już koleją się jeździ i umiera się, nieznając swojego kraju. I to rzecz bardzo łatwa, bo gdzież, w którym dworze i w którym mieście, nie nakarmią gromadki studentów wędrujących pod kierunkiem starszego mentora? U nas byłaby to rzecz arcypożądana; pożytki jej czyliż trzeba wymieniać? Nie potrzeba nic tylko dobrej woli, praktycznego obmyślenia, przygotowania w ciągu roku. *Dziennikarstwo warszawskie* powinno by te dwie sprawy wziąć poswojemu gorąco do serca, a wtedy będziemy za rok mieli, i kolonie wakacyjne, i gromadki wędrowców.

Wolę już skończyć na tej nadziei i dam pokój posłom chińskim i targowi zbożowemu aż do nowej pogawędki.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się 3-ci półarkusz nowelli pod tyt.: *Bracia*.

Ogłoszenia do *BLUSZCZU* przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy BERNARDA BERSOHN w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

TREŚĆ. Zjazd pedagogów w Krakowie, (dalszy ciąg), przez Wł. Nowickiego. — Ostatni list, (dalszy ciąg), przez A. Ch..... — Mikołaj Sep Szarzyński, studium, (dalszy ciąg), przez Wiktora Czajewskiego. — Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego. — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemieńskiego. — Korrespondencja zagraniczna, Wiedeń, (dokończenie).

BEZPRZYKŁADNIE NIZKA CENA.

Wydawca „Bluszczu“ chcąc uprzystępnić nabycie dzieła wielkiej wartości, pod tytułem :

PISMO ŚWIETE
STAREGO I NOWEGO TESTAMENTU

przekład X. JAKÓBA WUJKA

zatwierdzony przez Stolicę Apostolską

wydanie nowe z objaśnieniami podług J. FR. ALLIOLI

Zaaprobowane przez Konsystorz Archidiecezyi Warszawskiej.

WYDANIE WSPANIAŁE

w formacie wielkie in folio,

ozdobione 230 drzeworytami

odbitemi każdy na osobnej karcie

rysunku najslawniejszego europejskiego ilustratora

GUSTAWA DORÉ

w dwóch wielkich tomach

naznacza cenę wyjątkowo niską

dla prenumeratorów „Bluszczu“

Za exemplarz składający się z 64 zeszytów, obejmujących w sobie:

254 arkuszy tekstu w formacie wielkiego arkusza z osobnymi ozdobami na każdej stronie

230 rycin wielkiego rozmiaru

tylko rub. sreb. 18 — (dotychczasowa cena była rs. 32)

W oprawie w płótno angielskie rs. 24

W oprawie ozdobnej w płótno angielskie ze skórzanym grzbietem, pięknymi wyciskami, i złoconymi brzegami, oraz futerałem tylko rs. 27 (cena dotychczasowa rs. 42)

Za przesyłkę pocztą dopłaca się od exemplarzy nieoprawnych rs. 2, oprawnych rs. 3.

Z podziwem i uwielbieniem stajemy przed niezmiernym ogromem tej pracy, w której jednemu artyście powiodło się czarujące i wspaniałe illustrowanie całego Pisma Św. Starego i Nowego Zakonu;—z połączenia zaś sztuki drzeworytnika i typografa z sztuką rysownika-kompozytora powstała Biblia illustrowana, do jakiej w całym obszarze wydawnictwa europejskiego nie istniało dotąd nic podobnego.

Liczba exemplarzy do sprzedaży po niższej cenie jest ograniczona;—po rozejściu się, cena znacznie podwyższoną będzie.

Michał Glücksberg Wydawca, ulica Nowy-Świat Nr 55.

Za tak niską cenę, w stosunku do swego rozmiaru i ozdobności rycin, żadne dzieło nietylko u nas lecz i za granicą nie było sprzedawane.

BRACIA

NOWELLA

przez

Maryę Zofię Szwarc

przekład ze szwedzkiego

(Dalszy ciąg).

Wypadek jaki spowodował rozerwanie związku pomiędzy mną i Rolfem, przekonał go dostatecznie, że Gerard dotąd był gotów w chwili namiętnego wzburzenia, poświęcić zdrowie i życie.

— To odkrycie moje najdroższe dziecko, wpoilo we mnie to przekonanie, że łaska Boża, może umyślnie skłoniła jego serce ku tobie, ażebyś miłością i łagodnym postępowaniem wywarła błogi wpływ na jego usposobienie. Chciałem ci zapewnić szczęście przez połączenie cię z Rolfem, ale Bóg obrał dla ciebie wyższe posłannictwo, nawrócenia Gerarda na dobrą drogę. On też wzmocnił cię wyższą siłą do spełnienia tak wzniosłego dzieła.

Po tej rozmowie starałam się zapomnieć o własnych cierpieniach, nabywszy przekonania iż miałam zostać dla Gerarda dobrym aniołem, uszlachetniającym jego charakter.

Zmieniłam też względem niego dawny tryb postępowania. Nie płakałam już tak często i zmuszałam samą siebie, ażeby więcej myśleć o Gerardzie, niż o Rolfie. Kiedy mój narzeczony wracał do wybuchów dawnej zazdrości, zdobywałam się na spokojność, dowodząc mu tem najlepiej że się mylił. Sama nawet czułam się przy tem szczęśliwszą, skoro mogłam mu sprawić przyjemność i wierzyłam co raz silniej, że moje postępowanie wywierało zbawienny wpływ, na jego umysł i charakter.

Taki stan rzeczy potrwał przez parę tygodni, w ciągu których czułam się spokojniejszą i do pewnego stopnia zadowolioną ze swego poświęcenia. Moje przywiązanie do Gerarda stało się przez to tkliwszem i rzeczywistszem. Doznawałam pewnego rodzaju szczęścia, skoro mi się zdawało, iż dostrzegłam w nim pożądaną zmianę. Kiedyś zapewne będę mogła pokochać Gerarda takim samem uczuciem, jakim kochałam Rolfa, pomyślałam nieraz w duszy. Czas który mnie kołysał tak błogą nadzieją, nie potrwał jednak długo.

Gerard który przedtem przez parę tygodni, pilnie się zajmował doglądaniem gospodarstwa i robotami w winnicy, zaczął teraz przedsiębrać coraz częstsze wycieczki na polowanie. Przestał doglądać najemników, unikał swojego ojca, a zrazem i mego towarzystwa. Polowanie zdawało się być celem wszystkich jego pragnień. Tak częste oddalanie się z domu, które nieraz do kilku dni się przeciągało, zaniepokoiło wuja. To spowodowało, że ile razy Gerard powrócił do domu, czyniłam wszelkie możliwe usiłowania, ażeby go w nim jak najdłużej zatrzymać. Podwajałam moją uprzejmość względem niego, starałam się być jak najczulszą narzeczoną, ale władza moja,

nad jego sercem osłabła do tego stopnia, że on który w ciągu pierwszego roku po naszych zaręczynach, był całkowicie ogarnięty uczuciem miłości i na kolanach dziękował mi za każde tkliwsze słówko, teraz odpychał z niechęcią objawy mego przywiązania, które zamiast, jak się spodziewałam zatrzymywać go w domu, prędzej go jeszcze z takowego wyganiały.

Wśród tych nowych przyczyn do zaniepokojenia, miały dnie, jedne za drugimi.

Czoło mego wuja coraz się bardziej zachmurzało. Imię Gerarda, coraz rzadziej było wspomniane pomiędzy nami; zdawało się jakgdyby jakaś obawa wstrzymywała nas od rozmowy o jego postępowaniu.

Kończył się już drugi rok od czasu moich zaręczyn z Gerardem, kiedy w tem na naszej dolinie zaszedł wypadek, o jakim w tych stronach nie słyszano już od niepamiętnych czasów, to jest została spełniona kradzież.

Ciotka Monika, jeździła właśnie do Kreuznachu, dla podniesienia części swego kapitału! którą chciała przenieść na hypotekę swojego brata.

Było już bardzo późno kiedy wróciła do domu, i wszyscy z wyjątkiem służącej, która na nią oczekiwała, dawno już udali się na spoczynek. Ale nazajutrz rano, kiedy wuj nie wstał jeszcze z łóżka, wpadła do jego pokoju ciotka, krzycząc że została okradzioną i że 8,000 talarów, które poprzedzającego dnia przywiozła, znikły jej ze szuflady.

Wysmieliśmy oboje z wujem jej próżną twogę, ale niestety! sami przekonaliśmy się wkrótce, że miała słuszność. Summa którą wczorajszego wieczora włożyła do swego biurka, przepadła gdzieś bez śladu. Ciotka Monika oznajmiła o swojej stracie miejscowemu sędziemu, nie mogąc jednak wymienić nikogo, którego by podejrzewała o tę kradzież.

W parę dni potem, Gerard który był nieobecny w czasie tego wypadku, powrócił z polowania do domu. Był on w dosyć posepnem usposobieniu i przepędziwszy zaledwie parę godzin, w zamkniętym pokoju nad napisaniem odpowiedzi na list odebrany od Rolfa, oddał się znowu nad wieczorem, nie powiedziawszy ani słowa wujowi.

Rano udałam się do jego pokoju, ażeby go uporzakować przed jego powrotem.

Pomiędzy papierami rozrzuconemi na biurku, znajdował się list napisany do połowy. Rzuciłam na niego wzrokiem, był on zwrócony do Rolfa.

Ciekawość moja była zbyt wielką, ażebym nie pragnęła dowiedzieć, co też mógł pisać do brata.

List jego zawierał następujące wyrazy:

„Mój kochany Rolfie!

List twój ostatni był tak przeklecie głupi i nudny, że zaledwie mogłem się zdobyć na cierpliwość, aby go do końca przeczytać.

Do czegoż zmiierzają wszystkie owe kazania naganiające moją niestałość, niemoralne postępowanie, i t. d?... Jestem ja takim, jakim mnie stworzyła natura i nie sądzę ażeby twoje wyrazy mogły zmienić mój charakter.

Prawda że nie mogę być podobnym do ciebie, ale cóżem ja temu winien że dusza moja posiada skrzydła zmuszające ją do bujania, podczas kiedy twoja na podobieństwo ślimaka lubuje się siedzeniem w miejscu. Moje uczucia potrzebują ruchu, zmiany i walki, jeżeli mnie nie mają zabić. O! tak jest, umarłbym z pewnością, gdybym został skazanym na pędzenie życia na gospodarowaniu i uprawie winnicy, przykuty do żony i książki nabożnej.

O tem ostatniem pragnę właśnie pomówić.

A więc zarzucasz mi że pokochałem Selmę i mają dziką namiętnością rozłączyłem was ze sobą.

Co za głupstwo! Miałbyś takie same prawo zarzucać ziemi, że na niej szalony wichher drzewa wyrывa, jak mojej duszy, że jest targaną od dzikich namiętności, które nad nią biorą górę. Ziemia nic za to nie może, iż ją żywioły niszczą, tak samo jak i ja nie mogę mieć odpowiedzialności za to, że moja wewnętrzna istota pełną jest uczuć, nie nadających się na ów tor utarty, zwany drogą obowiązku.

Mógłś sądzić prawdziwie, że to jest podobieństwem ażebym ja mógł pokochać Selmę trwałem uczuciem, zostałem szczęśliwym przy jej boku i spędzić życie, dzieląc je pomiędzy gospodarką i kółysaniem moich dzieci, nie wyjrząwszy nigdy poza nasze góry?

Czyż mógłbyś sobie wyobrażać naprawdę, że jestem stworzonym do podobnego istnienia?

O! nie, ja urodziłem się do wolności, ruchu i zmiany.

Miłość ku Selmie była owocem jednej chwili i zgasła również prędko.

Zarówno ty, jak nasz ojciec i ona sama, jesteście temu winni, żeście nie spostrzegli, że to uczucie było tylko przemijającym ogniem, który zbyt wysoko wybuchnął, ażeby się długo mógł palić.

Teraz płomień już wygasł i cóż mi każesz począc z popiołem? Nie mogę go w żaden sposób rozpalić na nowo. To co raz umarło, nie może być już wskrzeszonym do życia. Moje połączenie z Selmą, wydaje mi się teraz przytłaczającym brzemieniem, czemś co mnie uciska i wzbudza we mnie obrzydzenie.

Wydaje mi się ona mdłą i nudną i czuje niepoohamowany popęd do ucieczki, skoro tylko zobaczę, że się do mnie zbliża.

Zaklinam cię więc, powróć do domu i odbierz sobie twoją narzeczoną, bo ona nie jest wcale stosowną dla mnie, jak to sobie dawniej wyobrażałem. Jedynem mojem życzeniem na teraz jest odzyskanie wolności.

Jest to w ogólności nader smutną prawdą, że im gwałtowniej płonie każde uczucie, dopóki napotyka przeszkody do swego zaspokojenia, tem łatwiej gaśnie, skoro te usuniętemi zostaną i wszystko świadczy o dopięciu pożądanego celu. Dopóki łzawe oczy Selmy i jej melancholizne usposobienie, wzbudzały we mnie wątpliwość o jej przywiązaniu, dopóty dusza moja pałała żądzą zdobycia gwałtem jej serca; lecz teraz kiedy wszystko mi powiada, że jest już posiadł, że mnie pokochała całą duszą, zapytuje, co mam począc z tą zdobyczą? Moja miłość gaśnie natychmiast, skoro jej już nie nie podnieca i drażni. Albo może sądzisz, że zechcę uświęcać nieodwołalnym związkiem miłość, która już tylko istnieje jako wspomnienie? O! nie, mój szanowny bracie i pozostawiam ci....

Na tych słowach została przerwana dalsza treść listu. Prawdopodobnie Gerard znudziwszy się zbyt długiem pisaniem, porzucił je, spiesząc się do przyjemniejszego zajęcia.

Opuściłam pokój, szukając samotności, dla łatwiejszego zebrania moich myśli.

Nad wieczorem, wybrałam się na zwykłą przechadzkę do tych rozwalin.

Wspomnienie wypadku który mnie rozdzielił z Rolfem, stanęło mi żywcem przed oczami.

Nie miałam już odwagi udać się na szczyt skały, gdzie widziałam walczących braci, którzy

mnie teraz obadwaj porzucili. Usiadłam więc tylko w jednej ustronnej grocie, podparłszy głowę rękami. Zdaje mi się, że płakałam.

Nagle tuż obok rozwalin, usłyszałam jakieś wesołe głosy. Żarty i śmiechy, rozlegały się naprzemiennie. Było to jakieś towarzystwo, przybyłe z okolicy, dla obejrzenia tych zabytków przeszłości.

Cofnęłam się w najciemniejszy kąt mojej groty, ażeby nie zostać dostrzeżoną.

Wesoła gromadka zbliżała się coraz więcej, tak że mogłam już zrozumieć prowadzoną rozmowę.

— Nie żądajcież odemnie, żebym się z wami wdrapywałam aż tak wysoko! przemawiał jakiś czyśty głosik dziewczęcy. Jeżeli chcecie nikt wam nie broni tej przyjemności, ale co do mnie, wyrzekam się naprzód przyjmowania w niej udziału.

— Ha! jak ci się podoba Klotyldo! odpowiedziała jakaś druga kobieta. Dosyć, że ja muszę się tam dostać koniecznie.

— I ja także, i ja także! odezwały się naraz inne głosy.

— Jeżeli szanowne towarzystwo nie będzie miało przeciwko temu, to ja jak najchętniej pozostanę przy pani Klotyldzie! przemówił znowu głos, na którego dźwięk zadrżałam gwałtownie. Był to głos Gerarda.

— Ale czemużby nie! zaśmiano się wesoło i Klotyldzie też zapewne nie będzie przykro, mieć przy swoim boku rycerza, wywodzącego swój ród od posiadaczy tego zamczyska.

Po tych słowach całe towarzystwo zdążające na górę, przesunęło się koło mojej kryjówki. Oparłszy się o ścianę, oczekiwałam z bijącym sercem, dopóki ostatni odgłos kroków niknących w oddaleniu osób, nie dozwoli mi zrozumieć rozmowy tych; co pozostali u stóp góry.

Nakoniec mogłam dosłyszeć wyraźnie każde słowo, zamienione pomiędzy niemi.

— Zaklinam cię Klotyldo! ażebyś raz już przestała pastwić się nademną! błagał Gerard sobie tylko właściwym, namiętnym, przejmującym głosem. Ta okrutna igraszka skończyć się musi. Nie wiesz z jakim usposobieniem masz do czynienia!

— I to być może, ale wiem przecie o pewnych wieściach, głoszących że masz pan tu gdzieś narzeczoną, poniżej na tej dolinie. Bez tchu prawie oczekiwałam odpowiedzi Gerarda. Nastąpiła ona natychmiast.

Oświadczył on wpośród najuroczystszych zaklęć, że to nie on, ale jego brat, był zaręczonym z mną; że nigdy jeszcze w życiu nie kochał żadnej kobiety, i że panienka o której mu wspomniała, była tak niezdolnie ograniczoną, że nigdy ani na chwilę nie przyszło mu do głowy, ażeby się z nią miał żenić.

Po tak uroczystym zapewnieniu, udało się w samej rzeczy Gerardowi, przekonać biedną Klotyldę, że była pierwszym i jedynym przedmiotem jego miłości i że bez niej życie wydaje mu się tak nieznośnym ciężarem, żeby go długo przenieść nie potrafił.

Usłyszałam następnie, jak Klotylda, nieco niepewnym głosem odrzekła, że jutro dostanie od niej stanowczą odpowiedź.

Tymczasem odważni turyści, powrócili ze swej mozolnej wycieczki i całe towarzystwo oddaliło się znowu.

Pozostałam jeszcze przez chwilę po jego odejściu w mojej kryjówce, powtarzając sobie w duszy: O! jakże mój los jest podobnym, do dziejów życia mojej matki!

Późno już było bardzo kiedy wróciłam na naszą dolinę i nie zastałam nikogo w domu, oprócz ciotki Moniki.

Wuj wyjechał był gdzieś konno po obiedzie

i dotąd jeszcze nie powrócił. Pragnęłam się jednak z nim zobaczyć, przed udaniem się na spacer. Około północy, spostrzegłam łódź mknącą ku brzegowi, w której siedział ten zacny starzec. Przybliżył się on niedługo wolnym, chwiałym krokiem ku naszemu domowi.

Wybiegłam ze ściśnionem sercem na jego spotkanie. Na mój widok westchnął głęboko i wyciągnawszy ręce, uściśnął mnie czule szepejąc zicha! Idź spać moje dziecko, jutro pomówimy z tobą!

Noc, którą przepędziłam naówczas, wydała mi się nieznośnie długą, ale nareszcie jak wszystko musiała się skończyć.

Z pierwszym blaskiem wschodzącego słońca weszłam do salonu, z zamiarem oczekiwania na mego wuja, ale z wielkim podziwieniem, zastałam go tam już siedzącego. Spostrzegłszy mnie zdaleka, pobiegł ku mnie i przytuliwszy do drżących piersi zawołał.

— Biedne dziecko! zdołasz że przebaczyć temu staremu wujowi, wszystkie twoje cierpienia i zgryzoty, które obadwaj jego synowie, ściągali na twoją niewianą głowę?

Przytuliłam się jeszcze silniej do jego serca i wybuchnęłam płaczem.

Kiedyś się oboje nieco uspokoili, opowiedział mi, że wczoraj rano otrzymał list, który zmusił go do pojechania do miasta, dla wyszukania Gerarda.

List ten, którego treść pozostała nieznaną dla mnie, stał się powodem do żwawej rozprawy pomiędzy ojcem i synem.

W ciągu tejże, Gerard oświadczył bez wahania, że się pokochał w młodej panience, która przed niedawnym czasem przybywszy do Kreuznachu z Berlina, bawiła u krewnych i że połączenie z Klotyldą Wern, (tak się zwała owa jego wybrana) może mu jedynie zapewnić szczęście na ziemi.

Po tem oświadczeniu, ojciec zabronił mu na zawsze wstępu do swego domu.

Napróżno zaklinałam wuja, wpośród najtkliwszych pieśzot, ażeby przebaczył Gerardowi.

Daremnie zapewniałam go, że to co zaszło, było właśnie największym szczęściem dla nas wszystkich.

— Nigdy noga jego, nie przestąpi więcej mego prog! Nie godzien on jest już teraz zwać się moim synem! odpowiadał mi na to rozgniewany ojciec.

Na drugi dzień po tem opowiadaniu wuja, wszystkie rzeczy Gerarda zostały odesłane do Kreuznachu, wraz z poleceniem do bankiera, ażeby mu wypłacił sumę odpowiednią wartości, jaką wynosiła część spadku, która nań przypadać miała po śmierci ojca; w tydzień zaś później otrzymaliśmy wiadomość, że opuścił Kreuznach i udał się do Berlina, dla zaślubienia Klotyldy. Nastąpiło to w samej rzeczy, zaledwie o parę tygodni później.

Od czasu owej nocy, w czasie której wuj powrócił z Kreuznachu, zdawało mi się że jego postać nagięła się bardziej ku ziemi, chód stał się niepewniejszym, a włosy mocniej zbielały. Było widocznem że postępowanie syna okropnem brzemieniem zaciężyło na jego ramionach.

Czytywaliśmy i przechadzaaliśmy się razem zupełnie po dawnemu, tylko że zamiast jak wtedy, odznaczać się swobodą i wesołością byliśmy oboje smutni i zamyśleni.

Pewnego dnia, już przy końcu lata, kiedy siedząc przed domem czytałam książkę wujowi, usłyszeliśmy odgłos szybkich kroków, które się ku nam zbliżały od strony rzeki.

Odgłos stawał się coraz wyraźniejszym i w parę minut na zakręcie drogi spostrzegliśmy dążącego ku nam Rolfa.

Radość, jaką uczuliśmy oboje, opisać niepodobna.

Pierwsze chwile naszego połączenia, zostały poświęcone uniesieniom szczęścia, lecz skoro się te nieco uspokoiły i mogłam z po za łez przypatrzyć się twarzy Rolfa, znalazłam go bardzo zmienionym.

Rysy jego niezmiernie łagodne pomimo całej powagi, przybrały teraz dziwnie surowy wyraz, rażący prawie chłodem i szorstkością.

Dni życia ludzkiego to istna fala, wzbierająca naprzemian to bólem, to rozkoszą.

Kiedy wiosna przyoblekła nowym wdziękiem z martwychwstającą naturę, stanęliśmy oboje z Rolfem u stóp ołtarza, dla połączenia się nierozzerwanym węzłem małżeńskiego ślubu.

Skorośmy opuszczali kościół, na zawsze już należąc jedno do drugiego, w sercu mojem upojonem miłością, zatarły się do szczętu wspomnienia doznanych cierpień, a przed oczyma duszy stanęła przyszłość przystrojona jasnemi barwy szczęścia.

Ale niestety! szczęście moje było jedynie snem pełnym uroku, który się nigdy nie miał ziścić.

Już w parę miesięcy po naszym ślubie, dostrzegłam że owa miłość jaką niegdyś doznawałam ze strony Rolfa znacznej uległa zmianie. On tak dawniej umiarkowany i kochający, teraz stał się sztywnym, zmiennego usposobienia, a niekiedy bardzo gwałtownym i niesprawiedliwym człowiekiem.

Jeżeli mu mówiłam o ile był mi drogim, czoło jego nie wyjaśniało się bynajmniej, i zbywając mnie zimnym pocałunkiem, odpowiadał litośnie: „Biedne dziecko!“

Jeżeli pieściłam się z nim niekiedy, przytulał mnie łagodnie do piersi mówiąc. Jakże też ty zawsze masz dobre serce Selmo!

Czasami skoro mi się zdarzyło oznajmić mu o czemś, co według mego przekonania musiało mu sprawić przyjemność, naówczas odpowiadał krotko: Dziękuję ci Selmo! jesteś wyborną gospodynią, umiejacą spełniać swoje obowiązki!

Na każde zapytanie dotyczące zaszłej w jego usposobieniu zmiany, odwracał się do mnie z temi wyrazy:

— Proszę cię uwolnij mnie od podobnych zapytań, które ani mnie, ani tobie nie przystoją. Wiesz przecie, że zmieniliśmy się oboje.

Napróżno starałam się przeniknąć przyczynę tego braku gorętszego uczucia, gdyż w żaden sposób nie mogłam jej odgadnąć.

Że tak szczególne postępowanie, nie mogło być skutkiem wygaśnięcia miłości, mogłam ztąd wnioskować, iż niekiedy okazywał mi prawie namiętne przywiązanie, lubo i w tych rzadkich chwilach szczęścia, jakiś bolesny wyraz nie opuszczał jego twarzy.

Cierpiałam więc nie śmiejąc żalić się przed nim, bałam się bowiem przedewszystkiem wywołać jego niezadowolnienie, dlatego że łatwo było wzbudzić takowe, ale bardzo trudno pokonać. Drżałam przed jego gniewem, gniewem tego człowieka, którego nawykłam widzieć tak łagodnym, w dawniejszych latach młodości.

Jeszcze przed naszym ślubem rozmawiałam z nim śmiało i otwarcie o Gerardzie i moich względem niego uczuciach; ale on słuchając dość długo w milezeniu, zawołał kiedym skończyła:

— Proszę cię najdroższa Selmo! ażebyś mi przyrzekła zrobić jedną wielką łaskę!

— A to jaką? zapytałam.

— Oto zechciej mi nigdy nie mówić o Gerardzie, bo każde słowo o nim z ust twoich pochodzące, rani mnie boleśnie, tak jak teraz.

Po takim oświadczeniu, naturalnie nigdy mi więcej nie przyszło do głowy, wznowiać rozmowę

o Gerardzie lub też o czemkolwiek co miało z nim styczność.

Ale niedomyślałam się bynajmniej że źródło dziwnego obejścia mojego męża, pozostawało z Gerardem w bezpośredniej styczności i gdzie indziej starałam się wyszukać jego przyczynę.

Wuj który nie słyszał nigdy zamienionego pomidzy nami najmniejszego cierpkiego słowa, miał nas za bardzo szczęśliwych, a my staraliśmy się ukrywać przed nim jak najstaranniej, tę myśl, że nasze szczęście istniało jedynie w jego wyobraźni.

Gerard zniknął dla nas i nikt już nie ośmielił się więcej o nim wspomnieć.

Po dwóch latach pożycia z Rolfem, Bóg obdarzył mnie synem, którego urodzenia o mało nie przypłaciłam życiem.

Nigdy nie zapomnę owych tkliwych starań, jakimi otaczał mnie Rolf w czasie mojej choroby.

W każdym jego ruchu, w każdym spojrzeniu mogłam wyczytać o ile mu byłam drogą, lecz skoro wróciłam do zdrowia, cofnął się odemnie, jak gdyby się obawiał być mi natrętnym.

Nie potrafiłabym określić, ile nad tem cierpiałam, teraz bowiem więcej niż kiedykolwiek potrzebowałam jego miłości. Gdyby Rolf nie był tak dobrym synem i ojcem, mogłabym była o ile możliwości pogodzić się z jego często tak ostrem, cierpkim i gwałtownym postępowaniem, jako właściwym jego usposobieniu, ale kiedy wspomniałam sobie jakim był dla mnie przedtem i jakim okazywał się zawsze względem swego ojca i syna, nie mogłam się wydziwić dlaczego tylko w obejściu ze mną, postępował wbrew swemu charakterowi.

Tak znowu upłynął rok jeden. Nadchodziła właśnie rocznica urodzin mojego chłopczyka, a że dziwnym trafem przyszedł on na świat, w tym samym dniu co niegdyś jego ojciec, kazałam więc na tę podwójną uroczystość odmalować w miniaturze swój portret i wraz z kędziorkiem włosów mego dziecka, oprawić w kosztowny medalion, a żeby go potem, rączyną synka ofiarować Rolfowi.

Spodziewałam się przy pomocy tego podarunku, wymóżyć na moim mężu jakiegokolwiek wyjaśnienie, które położyłoby koniec, naprężonym pomiędzy nami stosunkom.

Z powodu tego portretu, w czasie nieobecności Rolfa bawiącego naówczas w Bingen, odbyłam parę razy podróż do miasta.

Skoro powrócił do domu i dowiedział się o moich wycieczkach od służących, zaczął mi je wyrzucać z gwałtownością, posuniętą aż do zapominienia.

Wyrzucał mi zupełny brak szczerości, zapewniając, że mnie ten błąd przyprowadzi o zgubę. Rzucając mi w oczy wszystkie te obwinienia, wybiegł spiesźnie, nie pozostawiając mi nawet czasu do obrony.

Małe to zajście, wydarzyło się z samego rana, w wilię jego urodzin. W południe otrzymałam przez posłańca gotowy już medalion wraz z portretem.

Jakkolwiek przyjemność którą się spodziewałam osiągnąć za pomocą tego podarunku, już została zatruta niesprawiedliwością Rolfa, pocieszałam się tem, że skoro nazajutrz dowie się o prawdziwej przyczynie mojego bywania w mieście, przeprosi mnie za swoje niesłuszne postępowanie.

Było już około północy, ale Rolf nie wrócił jeszcze do domu.

Siedziałam przy kolebce mojego dziecięcia, słuchając z napięciem czy nie usłyszę odgłosu zbliżających się kroków jego ojca.

Nagle usłyszałam rzeczywiście przyspieszony chód mężczyzny, zbliżającego się ku naszej sypialni.

Zerwałam się z miejsca, dla powitania Rolfa,

ale w tem zatrzymałam się jak skamieniała na miejscu, zobaczywszy przed sobą Gerarda.

Był on blady i pomieszany. Cofnęłam się z przerażeniem o parę kroków.

W jednej chwili był już u nóg moich, błagając o przebaczenie za wszystko złe, jakie mi wyrządził.

Mówił że był nieszczęśliwym, nieszczęśliwym nad wszelki wyraz, właśnie z tego jedynie powodu, że okazał się względem mnie tak lekkomyślnym, ściągając na siebie gniew ojca i wzgardę braterską.

Zapewniał że oprócz mnie, żadnej innej kobiety nie kochał naprawdę w życiu, że dotąd kocha mnie jeszcze z niepokonaną siłą i przychodzi umyślnie aby mi to powtórzyć, a zarazem błagać o wyjednanie ojcowskiego przebaczenia.

Przyrzekłam mu uczynić co tylko będzie w mocy i pomówić o tem z Rolfem, ale usłyszawszy te słowa, zaklinał mnie ze łzami, ażebym nie wspominała wprzód o nim przed moim mężem, dopóki nie uzyska od ojca zupełnego przebaczenia. Błagał mnie o to w imię wszystkiego co uważałam za najświętsze na ziemi, twierdząc że uczyniłabym go najniezszczęśliwszym na całe życie.

Obawiając się, że inaczej nie ustąpi, przystałam na wszystko czego żądał i wtedy dopiero powstał z ziemi.

Wyprostował się przedemną. Wzrok jego płonął jakimś szczególnym wyrazem, który przeraził mnie do najwyższego stopnia, kiedy pochwyciwszy mnie za rękę, zawołał: Selmo! nie mogę się ztąd oddalić, dopóki mnie nie uratujesz ze zgubnych skutków jednego postępku, do którego mnie doprowadził ciężar nieszczęśliwego pożycia z żoną. Przegrałam w karty grubą sumę i jeżeli do jutra nie zapłacę mego długu, zostanę shańbionym, a na mojem nazwisku odbije się plama, odbierająca na zawsze nadzieję ojcowskiego przebaczenia. Selmo! w twojem ręku spoczywa teraz więcej niż moje życie, bo honor, tego nazwiska, które przecież jest również i twojem. Powiedz więc, czy nie uratujesz mnie od tej zguby?

— Jeżeli tylko będę mogła! wyjąkałam z trudnością, zapytując zarazem ile wynosiła przegrana summa.

Dług jego był właśnie tak wielki, jak moja pensya odebrana poprzedzającego dnia od wuja, który od lat dziecięcych, wypłacał mi zawsze w dniu pierwszym lipca całoroczną płacę na moje osobiste wydatki.

Nie namyslaając się ani chwili, pobiegłam do komody po pieniądze, które odebrał z rąk moich, nareszcie się oddalił.

Nadszedł nareszcie tyle oczekiwany przeze mnie dzień podwójnej uroczystości, ale Rolf nie przyjechał.

Pełna niespokojności wysłałam posłańca do miasta, dla przekonania się czy mego męża nie spotkało w drodze jakie nieszczęście, ale otrzymałam przez niego wiadomość, że Rolf jeszcze poprzedniego wieczoru opuścił Kreuznach i pojechał do Wiesbadenu.

Późnym już bardzo wieczorem, tego samego dnia jeszcze w którym przez podarowanie mego portretu, spodziewałam się pozyskać zmianę w moich przykrych stosunkach z Rolfem, powrócił on nareszcie do domu. Skoczyłam z miejsca, wybiegając z roztwartemi rękami na jego spotkanie, ale on odepchnął mnie gwałtownie, wołając. Proszę bardzo oszczędzić mi i sobie tej próżnej męczarni pieszczot. Gdzie jest mój ojciec? Czym go nie nabawił niepokoju moja długa nieobecność? To powiedziałwszy wybiegł, nie czekając nawet na moją odpowiedź i pospieszył do starego.

Po północy dopiero wszedł znowu do sypialni. Siedziałam właśnie przy kolebce kołysząc mego syna.

Pierwsze jego spojrzenie padło na mnie, ściągnął więc brwi i zapytał dość szorstko:

— Dla czegożes się dotąd jeszcze nie położyła?

— Dlatego że pragnęłam cię przedtem uściskać jako w dzień twoich urodzin, a zarazem powiedzieć ci przyczynę dla której w czasie twojej nieobecności, jeździłam parę razy do Kreuznachu. O Rolfe! jak mię to boli, że zamiast sprawić ci niespodziankę, wywołałam tylko twoją niechęć!

— W samej rzeczy, jest to aż zawiele łaski z twojej strony i umiesz nie żartem szafować słówkami, które mogą oszukać każdego.

Jestes straszliwą kobietą Selmo! dodał odwracając się odemnie.

— Rolfe! zawołałam rozpaczliwie. W jakim celu odzywasz się do mnie w ten sposób? Cóżem ci złego uczyniła?

— Coś mi uczyniła? powtórzył spojrzawszy mi bystro w oczy. I ty śmiesz jeszcze mnie o to zapytywać? Sięgnął do kieszeni i wyciągnawszy z kieszeni pudełeczko, dodał: Nietylko złamałaś mi zaprzysiężoną wiarę, ale jeszcze swój i mój honor, oddałaś nierozważnie w ręce szaleńca. Odbierz że więc teraz pamiątkę, którą mu posłałaś. Możesz tylko podziękować twemu mężowi, że ci oszczędził poniżenia i nie pozwolił ażeby twój portret nie został celem pośmiewiska dla gromady rozpustników w Wiesbaden.

Na ten raz jeszcze ocaliłem twój i mój honor, ale proszę na to nie liczyć, ażebym to jeszcze kiedykolwiek uczynił.

To mówiąc pospieszył ku drzwiom.

— Rolfe! Rolfe! zechciej mnie wysłuchać.

Ale on nie słuchał mnie bynajmniej i wkrótce zniknął mi z oczów.

Otworzyłam pudełeczko. Znajdował się w nim mój portret z medalionem, najzupełniej podobny do tego jaki przygotowałam dla Rolfa. U spodu ramki znajdował się napis: Selma Gerardowi!

Zdumiona pobiegłam do biurka dla przekonania się, czy mi kto nie ukradł medalionu; lecz spostrzegłam że leżał na dawnym miejscu i był jak dwie krople wody podobnym do tego, który mi Rolf rzucił na stolik.

Pomimo całego niedoświadczenia w intrygach tego świata, uczułam dobrze, iż ciężko mi się będzie usprawiedliwić. Malarz który zdejmował portret i sam tylko mógł zaświadczyć, że jeden tylko zamawiałam, wyjechał tego samego dnia w którym został zapłaconym. On podobnie dawał go do oprawy. Nie miałam więc przed sobą żadnego środka, ażeby dowieść mojej niewinności.

Całą ten noc przepędziłam bezsennie we łzach i modlitwie.

Następnego dnia nie widziałam wcale mojego męża, gdyż powrócił dopiero nad wieczorem.

Usiadłam umyślnie na ławce przed domem, a żeby go zmusić do rozmowy ze sobą.

Skoro mię spostrzegł oczy jego błysnęły gniewem, lecz mimo to zatrzymałam go za rękę, mówiąc:

— Żądam od ciebie, jako od dobrze myślącego człowieka, ażebyś pozostał i wysłuchał mnie na koniec.

Wczoraj rzuciłeś mi w oczy bardzo ciężkie obwinienie i winienie mi się z niego wytłomaczyć.

Rolf w milczeniu usiadł na ławce z której przed chwilą powstałam. Skrzyżował ręce na piersiach dając mi przez to poznać, że jest gotów wysłuchać teraz mego wyjaśnienia.

Usiadłam na małym wzniesieniu przy jego nogach i opowiedziałam najspokojniej, że kazałam odmalować moją miniaturę, jednemu przejeżdżającemu artyście, z zamiarem podarowania mu jej na urodziny. Oświadczyłam zarazem, że nic nie wiem

zapytując zarazem, jak mógł uwierzyć, ażeby mogła w ten sposób podejść.

Kiedym skończyła, ciężkie westchnienie uleciało z jęgo piersi.

— Jeżeli ci mam uwierzyć, to musisz mi wyjaśnić przedewszystkiem, z kąd Gerard przyszedł do posiadania twej miniatury? Nie był on przecież w Kreuznachu i nie wiedział żeś się kazała portretować. Nie mógł także kazać sobie odmalować kopii, a zresztą po cóżby to miał uczynić?

— Rolfie! Gerard był w Kreuznachu; zawołałam mimowolnie.

— Jakt! a więc on tam był? przerwał gwałtownie. A ty wiedziałaś o tem i zamileżałaś przedemną? Aha! zapewne musiałaś go tam spotkać kiedyś jeździła dla zdejmowania portretu; już ja też podejrzewałam coś podobnego.

— Rolfie! Na miłość boską! co ty mówisz? Czyliż cię kiedykolwiek okłamałam, lub oszukiwałam w życiu?

— Wprawdzie nie w ten sposób, żeby ci tego dotykalnie mógł dowieść! odpowiedział z gorzkim uśmiechem. Istotnie wielka jest różnica, pomiędzy zamilczeniem prawdy, a wyrzeczeniem kłamstwa; jakkolwiek fałsz pozostanie zawsze równie ohydny, bez względu czy kto zamilczy prawdę, lub też się jej zaprze. Tyś zamileżała przedemną żeś spotkała Gerarda i nie uważasz tego za oszukaństwo!

Pomimo wszelkich niesprawiedliwych oskarżeń, wystosowanych przeciwko sobie, zamiast się rozgniewać, zasmuciłam się tylko głęboko.

Opowiedziałam więc Rolfowi, w nadziei położenia końca naszemu nieporozumieniu, zajście pomiędzy sobą i Gerardem i jego żądanie ażeby mu wyjednała przebaczenie ojca.

Rolf słuchał mię uważnie, nie przerwawszy mi ani razu, ale na jego twarzy mogłam wyczytać z prawdziwą rozpaczą, że moja szczerość, nie usunęła bynajmniej podejrzania z jęgo duszy.

W czasie owych godzin srogiej męczarni dla siebie, nabrałam tego przekonania, że dusza, która raz dała przystęp do siebie nieufności i podejrzaniu, nie tak łatwo ulegnie wpływowi innych uczuć.

Po skończeniu mego opowiadania, Rolf potarłszy sobie czoło ręką, zawołał:

— Ależ ten medalion, ten medalion, jakimże sposobem, zdołasz mi to wyjaśnić? Ale na cóż się tu przydadzą wszelkie słowa? Wszakże pozostawiając się do winy zapierałabyś się podobnie. Chcę więc uwierzyć, że jesteś niewinną w tej sprawie, jakkolwiek wszystko przeciw tobie świadczy.

Powiedziawszy te słowa, zerwał się z ławki, dodając:

— Muszę zbadać koniecznie, czy jestem zwozonym przez ciebie, lub nie, gdyby mi nawet przyszło objechać całą ziemię dla wyszukania malarza, który robił obydwaj portrety, i nie żegnając mnie nawet, Rolf poszedł do ojca.

W parę dni później mój mąż wyjechał gdzieś znowu. Podróż jęgo była spowodowaną jakimś niespodzianym odebraniem listem; że jednak treść takowego nie musiała być wcale przyjemną, mogłam się przekonać z zafrasowanej twarzy starego ojca.

W chwili kiedy Rolf seiskał mnie przy pożegnaniu, twarz jęgo miała wyraz łagodniejszy niż zwykle; popatrzył mi w oczy i rzekł:

— O! gdybym mógł uwierzyć w prawdziwość twójego przywiązania.

— Możesz, możesz Rolfie! odpowiedziałam zwracając wzajemnie wzrok ku niemu, całe serce

moje, dusza i myśl każda ciebie tylko jedynie mają na celu.

Puścił moją rękę i westchnął.

— A więc nie ufasz memu zapewnieniu?

O Rolfie! czyliż nie możesz wyczytać z każdego spojrzenia, z głosu i postępków moich, że mówię prawdę?

On objął mnie długim przenikliwym spojrzeniem i rzekł.

— Chcę i muszę ci wierzyć, gdyż musiałabyś być przewrotniejszą od samego szatana, gdybyś z takim wyrazem prawdy w spojrzeniu, mogła mię oszukiwać!

Przez dwa tygodnie, napróżno oczekiwaliśmy powrotu Rolfa. Pisał on wprawdzie do ojca, ale otrzymana wiadomość musiała jeszcze pomnożyć cierpienia, malujące się od pewnego czasu, na twarzy zacnego starca. Ja także otrzymałam kilka słów serdecznych od mego męża.

W sam dzień odjazdu Rolfa, nadszedł pod moim adresem list od Gerarda. Po nim kolejno odebrałam kilka innych, teńnych temże samem podnieconem namiętnie uczuciem.

Usiłowalam też po kilka razy, zacząć rozmowę o Gerardzie, ale skorom tylko wymówiła jęgo imię, wuj surowym głosem przerywał moje słowa, tak że na tem poprzestać musiałam.

Nakoniec nadszedł jeszcze jeden list od Gerarda, w którym mi oznajmił stanowczo, że jeżeli za tydzień nie dam mu żadnej odpowiedzi, to jest nie doniosę, że mu ojciec przebaczył, zostanie przywieziony rozpaczą do odebrania sobie życia.

List ten nadszedł już późnym wieczorem, właśnie kiedy wuj udawał się na spoczynek.

Postanowiłam więc dnia następnego pomówić z nim z całą powagą, nie dając się odstraszyć jęgo surowością. Siedziałam sobie właśnie, rozmyślając nad tem, co będę mogła uczynić na korzyść tego, który był przyczyną tylu moich utrapień, kiedy w tem usłyszałam czyjeś kroki w salonie.

W mniemaniu że to Rolf mógł niespodzianie powrócić, pobiegłam natychmiast drzwi otworzyć. Omyliłam się, był to Gerard.

Widok jęgo przestraszył mnie do tego stopnia, że o mało nie krzyknęłam, ale on pochwycił mnie za rękę, szepejąc zeicha:

— Nie rób hałasu; muszę z tobą pomówić!

Scena jaka następnie zaszła pomiędzy nami, mogła być wywołaną tylko przez takiego człowieka, jakim był Gerard. Starał się on dowieść mi w jak najognistszych wyrażeniach, jak dalece mnie kochał i jak niewypowiedziane był nieszczęśliwym. Zaklinał mnie wśród łez, ażebym mu za wszystko co wycierpiał, użyczyła tej tylko jednej pociechy, że mu wyjednam widzenie z ojcem.

Przemawiał on z całą przesadą uczucia, a kiedy chciałam uciekać przerażona, zatrzymał mnie silnie wołając:

— Jedno z dwojga muszę wyjednać u ciebie, albo twoją miłość, albo przebaczenie mego ojca!

— Jedno tylko mogę ci przyrzec, to jest że uczynię wszystko co będę mogła dla pojednania cię z ojcem! odrzekłam usiłując uwolnić moją rękę. On puścił ją wprawdzie, ale jednocześnie objął mnie w pól i zwróciwszy oczy ku drzwiom zawołał:

— O! moja najdroższa, uwielbiona Selmo! powracasz mi życie, dając mi na nowo nadzieję twej miłości.

Skoczyłam przerażona, spojrzawszy zarazem przed siebie. Na progu, tuż naprzeciwko mnie stał Rolf.

Wydałam okrzyk boleści, usiłując wydrzeć się gwałtem z objęć Gerarda, ale on trzymał mnie silnie jak w kleszczach, tak że ani się ruszyć nie mogłam.

— Rolfie! ratuj mnie! krzyknęłam z rozpaczą; naówczas Gerard puścił mnie nakoniec, a ja pobiegłam do pustego salonu.

Zdawało mi się że słyszałam czyjeś kroki, rzuciłam się zatem wśród ciemności za ich odgłosem, ale nagle wszystko dokoła mnie ucichło. Noc była ciemna i nie widziałam nic wcale. Słuchałam, wołałam; ale nikt mi nie odpowiadał, a kiedy powróciłam do domu, nie zastałam już Gerarda. Wszystko co zaszło wydawało mi się snem tylko.

O! jakże nieskończenie długą wydawała mi reszta tej nocy.

Nadszedł poranek, nie przynosząc najmniejszego wyjaśnienia, co do wypadków zaszłych w czasie upłynionej nocy. Nabrałam wreszcie przekonania, że pojawienie się Rolfa tej nocy, było jedynie złudzeniem wzroku, i postanowiłam bądź co bądź przyspieszyć widzenie syna z ojcem, aby raz się przecie uwolnić od nalegań Gerarda.

Wiedziłam że Gerard ukrywał się w pokoju ciotki Moniki, chciałam więc ażeby tam pozostał dopóty, dopóki mi się nie uda nakłonić ojca, ażeby się zechciał z nim zobaczyć. Położenie moje w samej rzeczy było trudne, przez to iż obawiałam się, że tej nocy rzeczywiście mogłam widzieć Rolfa i mógł on się co chwila pojawić na nowo, dla przeskodzenia pomyslnemu obrotowi mego przedsięwzięcia.

Odmówiwszy w duszy gorącą modlitwę, wzięłam moje dziecko na rękę i wraz z niem udałam się do pokoju wuja.

Tam zaczęłam mówić o Gerardzie. Wuj chciał mi przerwać jak zwykle, ale ja pomimo to mówiłam dalej, opisując jak okropnie nieszczęśliwym czuł się syn jęgo, przez to, że mu nie wolno już było zbliżyć się do ojca.

Błagałam ażeby mu darował popełnione błędy, przedstawiając że kara za to, co względem mnie przewinił nie powinna była się rozciągać, aż do wypędzenia na zawsze z przed ojcowskiego oblicza; przemawiałam do jęgo rodzicielskiego serca, zapytując czy nie stokroć piękniejszym uczuciem byłoby z jęgo strony przebaczenie, aniżeli przekleństwo.

Wuj spostrzegłszy iż pomimo kilkakrotnych usiłowani, nie zdołał mi przerwać, wysłuchał mnie aż do końca. Kiedym zamilkła, podniósł głowę, którą przez cały ten czas trzymał opartą na rękę, wstał i poszedł do swego biurka z którego wyjął jakiś list i nie mówiąc podał mi go do ręki.

Pochodził on od sędziego z Kreuznachu i był napisany w takich wyrazach:

„Szanowny mój przyjacielu!

O ile mi się zdaje, odkryłem już złodzieja, który ukradł twojej siostrze osiem tysięcy talarów; wiedząc jednak, że ani ty, ani ona, nie będziecie chcieli poszukiwać swej krzywdy na drodze sądowej, dowiedziawszy się, że sprawcą jej, jest twój syn Gerard, uważam za najlepsze poradzić ci, ażebyś tę sprawę w ten sposób ułożył ze swoją siostrą, iżby zaniechała dalszego, prawnego śledztwa.

(Dokończenie nastąpi)